

1

Wypędzeni
w dzień sabatu

MARIA MATUSZEWSKA

Mija 44 rocznica powstania w getcie warszawskim. Żydzi zamojscy zostali wymordowani przez Niemców jesienią 1942 roku. Dla uczczenia ich pamięci w rocznicę getta warszawskiego publikujemy wzruszające wspomnienie zamościanki, Marii Matuszewskiej.

REDAKCJA

MUSIAŁAM BYĆ WTEDY JESZCZE CAŁKIEM MAŁA, SKORO OJCIEC NIÓSŁ MNIE NA RĘKACH PRZECINAJĄC PLAC OD RATUSZA W KIERUNKU DZISIEJSZEJ ULICY GRODZKIEJ, a wówczas 3 Maja, kiedy zobaczyłam idących z przeciwnej strony dwu mężczyzn z brodami i pejsami, ubranych w czarne chałaty i mających głowy nakryte jarmułkami. Pewnie tak ubranych ludzi zobaczyłam wtedy po raz pierwszy i na tyle wydali mi się różni od tych osób, jakie widziałam wśród najbliższego mi otoczenia, że zaczęłam głośno krzyczeć — tato, kto to jest? Ojciec wyjaśnił mi, że to są Żydzi. I w ten sposób poszerzyłam swoją znajomość zamojskiego świata.

W Zamościu przed wojną mieszkało dużo Żydów. Bogaci osiedlili się głównie na Starym Mieście. Tutaj mieli swoje mieszkania, sklepy, gabinety lekarskie, zakłady rzemieślnicze. Do nich należał Lubliner, ławnik Zarządu Miejskiego czyli magistratu w Zamościu, a jednocześnie właściciel dużego, lokciowego sklepu przy ulicy Staszica. Sklep mieścił się w kamienicy także należącej do Lublinera. Mieszkanie prywatne mieściło się na piętrze. Obok jego sklepu był duży sklep z zabawkami. Z wystawy tego sklepu czarowały małych zamościan lalki zwykle i śpiące, wózki, wiaderka i lopatki, hulajnogi i kolorowe koła, które dzieci, jeżeli stały się ich posiadaczami, toczyły alejami w parku przyprowadzane tutaj przez bonny, niańki lub niepracujące zawodowo matki. Mnie najbardziej podobała się zwykła, nieduża lalka o niebieskich oczach i blond włosach w kapeluszu i sukience zrobionej szydelkiem z szafirowej włóczki. Stała na wystawie uśmiechając się. Kolor szafirowy na długie lata był dla mnie najpiękniejszy.

Za sklepem z zabawkami była apteka Czernickiego, którą przeniesiono stosunkowo niedawno na ulicę Grodzką z powodu renowacji tej części Rynku i tak, jak porzucona sierotka, została tam do dziś. A szkoda, bo w innych miastach czasami nie bywam całymi latami, ale jeżeli znowu przyjadę to idę bezbłędnie po zakupy do sklepów, aptek czy drogerii, które nie zmieniły swoich miejsc. Tylko Zamość lubi zmiany, że nawet zasiedzialemu mieszkańcowi trudno się zorientować czy tutaj jeszcze sprzedają swetry, czy już bieliznę pościelową, a wobec tego dlaczego koło sklepu pachnie świeżym chlebem?

ZA APTEKĄ CZERNICKIEGO BYŁ WĄSKI MAŁY SKLEPIK, KTÓREGO WŁAŚCICIELKĄ TEŻ BYŁA ŻYDÓWKA. W sklepie tym leżały na półkach całe stopy kapeluszy z organtyny w kolorach pastelowych bardzo modne w latach trzydziestych, dla pań, panienek i dziewczynek. Oprócz kapeluszy w sklepie tym były jeszcze obłoki różnokolorowych włóczek a także szydelka i druty kościane i metalowe. Dalej był skład apteczny Epszajna. Kupowało się tutaj i naftę, i perfumy sprzedawane na gramy. Z dużych słoików były odmierzane za pomocą miarurki, a potem przelewane do butelki przyniesionej przez klientkę. Mógł to być zapach konwalii, fiołków, lub jaśminu. Były też gumowe gruszki do lewatywy, bańki do stawiania w razie przeziębienia, termometry, ślazowe cukierki dla dzieci chorujących na robaki, a także farby do farbowania tkanin i pisanek, główki aniołków i baletnic do robienia zabawek na choinkę. Bo właściwie to tutaj można było chyba kupić wszystko łącznie z diabłem rogatym skaczącym za kolegami, którzy chodzili po domach z gwiazdą betlejemską, też pewnie kupioną u Epszajna.

Także przy ulicy Staszica, gdzie dziś jest numer 6 lub 8 miała swój salon krawiecki Zajdłowa. Szyla ubrania tylko dla dzieci.

Przy ulicy Ormiańskiej, na rogu od strony Ratusza, był sklep długi, wąski, ciemny i pełny wielkich bali różnych jedwabi. W pamięci utrwalił mi się ten sklep dzięki temu, że byłam tam z mamą, która kupowała

2

Wypędzeni w dzień sabatu

Jedwab w turecki wzorek bardzo wówczas modny na letnie szlafroki. W tym sklepie sprzedawał Żyd w czarnym fartuchu i czarnej jarmulce na głowie. Tanecznym ruchem rąk rozwijał wiele białych materiałów prezentując ich urodę, bo — może łaskawa pani kupi ten w zielonym odcieniu albo ten ze szmaragdowym wzorem. Nie będzie pani żałować, u mnie jest do sprzedania tylko bardzo dobry towar.

W latach trzydziestych były też bardzo modne lisy, które nosiło się nie tyle zimą ile właśnie latem przewieszane przez lewe ramię i zdobące letnią, jedwabną suknię lub kostium. Lisy w owym czasie nosiło się i dzikie, rude, ale do bardziej eleganckich zaliczano lisy srebrne, oczywiście odpowiednio droższe. Szyku dodawało jojo. Ot, mała pileczka z celofanu, na długiej, cienkiej gumce trzymane w ręku i odbijane od dłoni podczas spacerów po ulicy Akademickiej i parku.

W ciągu mojego życia świat był beztrząsoko figlarny dwukrotnie: raz, kiedy ogarnął go szal zabawy w „jojo”, drugi raz, kiedy znikował na punkcie „hula hop”. Ponieważ któraś z rodzinnych cioc kupowała lisa, więc do pomocy w jego wybraniu zaprosiła moją mamę, która zabrała na ten spacer po sklepach także i mnie. I dzięki temu pamiętam ogromne składy futer w różnych sklepach mających swoje siedziby w kaminiczkach przy Wielkim Rynku. Nie, to nie były sklepy, to były ogromne magazyny pachnące ostrym zapachem świeżo wyprawionych skór, a właścicielami tych bogactw byli oczywiście Żydzi. Chodziło się po piętach i schodziło do piwnic. Wszędzie były futra z fok, żrebców, popielic, dla dzieci z królików, kożuszki i kożuchy, kołnierze z szynszyl; i lisy z puszystymi ogonami lypiące złośliwie szklanymi oczami, leżały całymi stosami, wisiały na wieszakach lub były przerzucone na drążkach. Najlepiej zapamiętałam magazyn futer mieszczący się w Ratuszu z wejściem od strony ulicy Kollataja. Żyd chodził między futrami jak przewodnik po skarbcach sezamu. Cierpliwie zdejmował futrzany towar i wieszal z powrotem, skoro lis nie podobał się kupującej. Gładził futro z włosem i dmuchał pod włos. Nie obrażał się, jeżeli klientka grymasiła, kłaniał się, jeżeli kupiła polecając swój sklep na przyszłość.

A na podcieniach wokół Rynku, z piwnic, do których wejścia zachowały się jeszcze tu i ówdzie do dziś, codziennie rano były wystawiane garnki gliniane, emaliowane, aluminiowe i żeliwne baniaki, rondle i patelnie. Towar leżał na ulicy. Rynek Wielki Starego Miasta żył handlem. A na podcieniach ulicy Ormiańskiej w upalne dni letnie, w słoty jesienne i mroźne zimy Żydówki sprzedawały ziarenka słonecznikowe i pestki dyni pakując towar do torebek z gazet skreślonych w tubkę na palcu. Można było kupić dużo, mało i bardzo mało, na ile kogo było stać, a sprzedająca Żydówka zawsze była szczęśliwa, że sprzedaje. Na tymże podcieniu stały też beczki ze śledziami. W dzień, w nocy i o północy śledzie można było kupić. Solone i marynowane. Zapach śledziowych podcieni wywiewał dopiero podczas ostatniej renowacji, a zamiast śledzi można teraz na Ormiańskiej kupować namiastkę zachodniej Europy za dolary. W „Pewexie”.

PRZYSMAKIEM BYŁY MACE W WIELKIM TYGODNIU WEDŁUG ŚWIĄT KATOLICKICH. Mace nie były do sprzedania, a można było je dostać w podarunku od znajomych Żydów. Związane one były ze świętami religijnymi Starego Testamentu. Żydowskie mace, katolickie pisanki we wzory kwiatowe, ślimacze, jodelkowe, a w dwa tygodnie później malowane jednobarwne jajka u prawosławnych. Wśród dzieci panowała pełna tolerancja religijna.

A na Rynku Solnym, z drugiej strony Ratusza, siedziały na stołkach Żydówki i sprzedawały włóczki różnokolorowe, szydełka, nici oraz wszelkie inne akcesoria potrzebne do damskich robótek ręcznych. Bo jak to się wtedy haftowało! Serwety i serwetki, obrusy i laufferki, bieliznę pościelową i osobistą, firanki i zasłony do okien, a także makatki, poduszki i poduszeczki. Nie wyrzucało się też zbyt łatwo i szybko podartych pończoch jedwabnych dla pań, w prążki dla dzieci czy też skarpet, ale cerowało. Nie było jak, aby dziura nie świeciła. Cera musiała być sama w sobie ozdobą sfatygowanej skarpetki, czy pończochy służąc niejako za reklamę, że pani domu jest oszczędna oraz posiada złote ręce do szycia. A wszystko potrzebne do cerowania i haftowania można było kupić u Żydówek prowadzących handel na Rynku Solnym. Kiedy przechodziłam tamtędy trzymana za rękę przez mamę, zawsze trzeba było ciągnąć mnie siłą, bo zostawałam w tyle wyszukując oczami wśród różnobarwnych włóczek koloru... oczywiście szafirowego. Z zaciekawieniem też przyglądałam się samym Żydówkom, bo każda z nich na głowie miała perukę. Peruki miały włos matowy, a od strony czoła były równiutkie jakby linijką wykreślone, co bardzo mnie ciekawiło i intrygowało. Ale nigdy nie mogłam przyjrzeć im się do syta.

W jatkach Żydzi sprzedawali mięso i wędliny. Innych sklepów tam wtedy nie było. Ponieważ lodówki nie były jeszcze znane, więc w każdym sklepie było wejście czy też raczej zejście do piwnicy. Pewnie dostatecznie zimnej, skoro można tam było przechowywać mięso w największą letnią kanikule.

3

Wypędzeni
w dzień sabatu

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 6, 7)

Przy Rynku Solnym mieszkał bodaj na pierwszym piętrze w jednej z kamieniczek Żyd felczer o nazwisku Wechter. Długo lata nie mogłam zapamiętać czy felczer to zawód, a Wechter to nazwisko, czy też odwrotnie. A był to jedyny lekarz, do którego chętnie chodziłam, czy raczej dawałam się zaprowadzić bez oporu. A może nawet wymyślałam sobie różne dolegliwości straszając rodziców, że albo już jestem chora, albo będę chora i dlatego trzeba pójść ze mną koniecznie do felczera.

POCZEKALNIA BYŁA MAŁA, GABINET TEŻ, ALE STAŁY TAM SŁOJE Z LEKARSKIMI PIJAWKAMI I TO BYŁ MAGNES, KTÓRY MNIE PRZYCIAGAŁ. Ach, jak te pijawki zawsze mnie ciekawiły. A za to, że dałam się grzecznie zbadać, obejrzeć zęby i gardło — dostawałam od felczera najbardziej cudowne zabawki jakie świat wymyślił, czyli pudełka po lekarstwach i zastrzykach. Po zbadaniu obdarowana pudełkami; byłam zapraszana przez żonę felczera, do pokoju, gdzie stały piękne, ciemne i rzeźbione meble. Dziś wiem, że nazwałoby się je antykami i zastanawiałabym się ilu pokoleńiom służyły. Pośrodku pokoju stał duży, okrągły stół przykryty ceratą w niebieskie różyczki. Stół był wysoki, ja jeszcze mała, toteż na krzesło kładziono ogromne książki, na które mnie sadowiono. Potem na stole pojawiały się niezmiennie kruche ciastka ozdobione w środku wiśnią jako poczęstunek dla mnie takiej różnej choć małej pacjentki.

Bardziej jednak od ciastek ciekawiły mnie te książki, na których siedziałam. Czytać jeszcze nie umiałam, ale sobie wyobrażałam ile one muszą zawierać wiadomości. Toteż siedziałam sztywno, bez ruchu, może obawiając się, aby nie ugnieść zgromadzonej tam wiedzy, a na pewno w obawie aby z nich nie spaść. Pani Wechterowa była uczesana w wysoki kok przykryty małą serwetką, zrobioną szydełkiem z białych nici. Zawsze bardzo uważnie i ciekawie przyglądałam się temu oryginalnemu uczesaniu. W wiele lat potem dowiedziałam się, że była to jeszcze moda XIX-wieczna.

Ostatni raz byłam u felczera Wechtera wczesną jesienią czy też późnym latem 1941 roku. Bawiąc się na podwórzu przebiłam sobie stopę lewej nogi starymi, zarzewiałymi widłami, które nie wiadomo skąd tam się znalazły. Najpierw był opatrunek zrobiony domowym sposobem, ale kiedy noga zaczęła mi puchnąć rodzice zdecydowali — trzeba jechać do Wechtera. Bo pan Wechter już wtedy nie mieszkał przy Rynku Solnym, ale był przesiedlony na ulicę Lwowską do getta, które jeszcze w owym czasie nie było ogrodzone drutami kolczastymi i nie stanowiło obszaru całkowicie zamkniętego.

Ale od początku okupacji nie wolno było kontaktować się Polakom z Żydami ani udzielać sobie wzajemnej pomocy, w tym także i lekarskiej. Ojciec sprowadził dorożkę, bo tylko taka była wówczas komunikacja miejska w Zamościu. W dorożce podniesiono daszek, który zakrywał pasażerów, to znaczy moich rodziców i mnie. Dorożkarz siedział na koźle. I tak wjechaliśmy na teren getta.

Felczer Wechter wraz z żoną i synem jedynakiem, do niedawna studentem medycyny we Lwowie, mieszkał jeszcze wtedy w ładnym domku przy ul. Lwowskiej i miał swój gabinet lekarski wydzielony z części mieszkalnej. Oczywiście, że nie uchylił się od udzielenia mi pomocy. Dostałam jakieś zastrzyki, a pan Wechter rozmawiał z rodzicami na temat obecnej sytuacji. Ale kiedy zaczęłam czuć się coraz gorzej, wtedy felczer zrobił się bardzo niespokojny i zaczął nerwowo chodzić po pokoju z założonymi do tyłu rękami ciągle powtarzając — ojoj, co to może być, ojoj, czy ona przeżyje tę noc? Potem polecił rodzicom, aby mnie zawieźli natychmiast do szpitala.

PRZEŻYŁAM TĘ NOC I WIELE NASTĘPNYCH, A PAŃSTWO WECHTEROWIE W ROK PÓŹNIEJ ZGINĘLI WSZYSCY TROJE W CZASIE LIKWIDACJI ZAMOJSKIEGO GETTA.

Rynek Nowe Osady i okolice też były zasiedlone w dużej części żydowską ludnością, tylko że biedniejszą lub całkowicie biedną. Żydzi ze Starego Miasta mieli synagogę przy ul. Bazylikańskiej. Już na początku okupacji Niemcy spalili tę świątynię. Po wojnie została odbudowana, a dziś mieści się tam biblioteka. Żydzi z Nowego Miasta modlili się w synagodze innej. Też uległa zniszczeniu w czasie okupacji. Po odbudowaniu po wojnie stała się przedszkolem. Cmentarz żydowski czyli kirkut mieścił się w tym miejscu, gdzie dzisiaj jest Wojewódzki Dom Kultury oraz resztki ogródka jordanowskiego urządnego po wojnie. Cmentarz żydowski zniszczyli Niemcy, a z płyt nagrobkowych wybrukowali ścieżkę koło torów kolejowych od dzisiejszego wiaduktu w kierunku Zakładów Mięsnych. Po wojnie z tych zniszczonych płyt wydłubanych z ziemi wzniesiono pomnik znajdujący się naprzeciwko zakładów odzieżowych „Della”.

To było przed wojną. Chodziłam już do przedszkola i pamiętam, że prawie całe Nowe Miasto spłonęło w biały dzień, a ogromną lunę oglądaliśmy z okien pilnowani przez wychowawczynię. Pożar wybuchł tuż przed południem. Powiało trwogą. Może pierwszy raz w życiu odczułam wtedy zagrożenie swojego bytu i strach przed żywiołem?

Gore, gore Nowe Miasto! I któż mógł wtedy przeczuć.

4

Wypędzeni
w dzień sabatu

że właśnie ta część miasta będzie miejscem ostatniego etapu życia wielu setek zamojskich Żydów? Kto mógł wtedy przewidzieć, że już w niedalekiej przyszłości płonące łuny będą częstym pejzażem Polski, którą ledwie zaczęłam poznawać i dopiero zaczynałam uczyć się, że to jest mój kraj ojczysty? Ostry swąd spalenizny czuć było także na Starym Mieście. Był to bardzo duży pożar.

Potem nadszedł wrzesień 1939 roku. Już od listopada tegoż roku Niemcy wprowadzili nakaz noszenia przez Żydów gwiazdy Dawida początkowo w kolorze żółtym, a później niebieskim na białych opaskach. Gdzieś na przełomie roku 1939/40 Niemcy zaczęły wysiedlać Żydów z zajmowanych przez nich mieszkań i kamienic na Starym Mieście. Umieszczano w szwach na Nowej Osadzie.

TWORZONO GETTO, KTÓREGO NIE ZNAŁ ZAMOŚĆ OD POCZĄTKÓW SWEGO ISTNIENIA, A JA NAUCZYŁAM SIĘ NOWEGO SŁOWA — GETTO. Do akcji wysiedlania Żydów zabierali ze sobą Polaków szczególnie z tzw. granatowej policji jak również cywilów grożąc aresztowaniem w razie odmowy. W ten sposób Niemcy już od początku akcji wyniszczenia Żydów przygotowywali grunt, aby przed światem oskarżyć także Polaków za ludobójstwo. Przykre, że tej ohydnej propagandzie hitlerowskiej uwierzyło także część Żydów prowadząc po dzień dzisiejszy działalność nieprzyjazną Polakom.

To prawda, chodziły słuchy, że nie wszyscy Polacy zachowywali swą godność narodową w tym strasznym, zmienionym czasie, zapominając że zło bez względu na okoliczności dziejowe, jest zawsze złem. Ale przy tej akcji wysiedlania, a później i w samym getcie, działała też żydowska policja utworzona przez Niemców i będąca na ich usługach. Działalność tejże policji była haniebna i okrutna. Za cenę przeżytej godziny, zdradzali Niemcom kryjówki innych Żydów, szpiegowali i donosili Niemcom. Czasami donos dotyczył kawałka chleba rzuconego za druty getta przez Polaków. Toteż Polacy do działalności policji żydowskiej czuli wstręt i obrzydzenie.

Początkowo Żydzi wysiedleni na Nowe Miasto mieszkali luźno w lepszych lub gorszych domach. Był to jeszcze komfort w porównaniu z tym, co czekało ich w niedalekiej przyszłości. Ale potem skomasowano ich wszystkich na niewielkiej przestrzeni w okolicy ulicy Konopnickiej i Gminnej, a getto otoczono drutami kolczastymi. W tych warunkach to już była tylko wegetacja.

POŹNĄ JESIENIĄ 1942 ROKU ZACZĘTO LIKWIDOWAĆ ZAMOJSKICH ŻYDÓW, A NA OPRÓŻNIONE MIEJSCE ZWOŻONO ŻYDÓW Z CAŁEJ ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ EUROPY. Na likwidację zazwyczaj wybierano noc z soboty na niedzielę, kiedy Polaków obowiązywała już godzina policyjna. W ten sposób eliminowano świadków. Wypędzonych z getta Żydów pędzono ulicą Lwowską, skręcano w ulicę Obwodową, (dziś Róży Luksembur), a następnie kierowano ten pochód śmierci w ulicę Lubelską. W taką noc nie spaliśmy nigdy. Siedzieliśmy przerażeni w swoich domach i słuchali wielu setek nóg, jęków udręczonych i od czasu do czasu odgłosu strzału. Były to noce grozy. Rano w niedzielę godzinę policyjną przedłużano i Polakom nie wolno było wychodzić z domów tak długo, póki nie zostały zatarte ślady zbrodni.

Ale raz, po takiej właśnie listopadowej nocy, umierała z powodu gruźlicy płuc nasza sąsiadka. Przed zbliżającą się śmiercią chciała się wypowiedzieć. Było to między godziną 10 a 11 przed południem i jeszcze trwała godzina policyjna przedłużona jak zwykle w takich wypadkach. Moja rodzina uradziła, aby właśnie mnie wysłać po księdza do kościoła św. Katarzyny, jedynego kościoła w Zamościu, który nie został przez Niemców zamknięty. Wybrano mnie, gdyż wierzono w moją szczęśliwą gwiazdę oraz ufano mojej zaradności wypróbowanej już w innych, drobnych, bo na miarę ówczesnych moich lat, konspiracyjnych usługach.

Bocznymi ścieżkami a następnie szosą Batarejką wyszłam z ulicy Kilińskiego na ulicę Obwodową. Całe miasto było bezludną pustynią. Na ulicach nie było nikogo. Padał dość gęsty jesienny deszcz. Z ulicy zdążono już zebrać ciała zabitych, ale jeszcze pozostały kałuże skrzepłej krwi, którą zmywał deszcz. Miejsca znaczone krwią były dość gęste. Omijając krwawe plamy powoli wsłakające w moją rodzinną zamojską ziemię początkowo biegłam od drzewa do drzewa chowając się za pnienie, aby obejrzeć czy jestem bezpieczna na najbliższych kilka kroków. Ale Niemców nie było widać. Czyżby odpoczywali po krwawej robocie?

Przez ulicę Lubelską szłam już prawie bez obawy samietenka wśród zacinającego deszczu. Miasto w godzinach grozy zamario, zamilkło, przestało pulsować swoim zwykłym rytmem dnia niedzielnego.

Kościół był pusty, pozbawiony wiernych. Jedyne w zakrystii był ksiądz i kościelny. Drogę powrotną od kościoła do domu przeszliśmy we troje. Ja szłam pierwsza jako przewodniczka. Do szumiącego deszczu dołączył dźwięk dzwonka kościelnego, choć po bruku w strugach wody już tylko sphywała krew ludzi wypędzonych w dzień sabatu.

MARIA MATUSZEWSKA